Lwów, 11. Marca. № 30. Rok 1854.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

O trzynastu córkach szlachcica litewskiego.

(Epizod z pamiętników.)

(Ciąg dalszy.)

Miała starościna córkę Alinkę która chociaż starościnę nazywała mamą, nie była jej córką; ona była tylko jej wychowanką. Wprawdzie złośliwe języki, na których i przed trzydziestą laty nie brakowało, twierdziły inaczej i rozpowiadano sobie na ucho, że Alinkę ze starościną łączy ściślejszy związek o którym major cośby miał do powiedzenia; starościna miała niby wymyślić bajeczkę o pochodzeniu Alinki, bajeczkę którą powszechnie rozpowiadała. I wszyscy słuchali z uwagą i zajęciem, ale nie wszyscy podobno wierzyli. Lecz trzeba było wierzyć święcie jej słowom, i przekonanym być że szczerą zawierały prawdę. Tyle było szczeroty, tyle szczegółów naiwnych w jej opowiadaniu, a w głosie i słowach odbijało się takie silne rozczulenie, iż mimowolnie trzeba było jej wierzyć, mając jakie takie czucie. Jeżeli to było kłamstwo, udanie, w takim razie starościna sztukę komedyi do wysokiego posunęła stopnia, i swą rolę odgrywała po mistrzowsku. Lecz nie!... jej łzy nie kłamały, jej łzy były zupełnie szczere. A ze łzami w oczach zaczynała zawsze opowiadanie swoje od tych słów:

— Bóg dobry mi ją dał!

To powiedzenie samo przemawiało najmocniej wedle zdania mego za jej szczerością; starościna bowiem nie należała do zbyt religijnych. Ale to wielkie, to silne uczucie przywiązania jakie miała do Alinki, bo też ją kochała niezawodnie miłością najczulszej i najlepszej matki, to uczucie rozbudzało w niej dawną wiarę. Ona swoje przywiązanie kładła niejako pod opiekę tego przez nią tak długo zapomnianego boga, o którego dobroci przekonywała go sama siła jej przywiązania. Ona by w takim razie nieśmiała kłamać, by ją ten bóg dobry, ale i sprawiedliwy zarazem, nie skarał na tem, co stanowiło jej szczęście całe, co było jej skarbem jedynym.

Opowiadała zaś a major półakiwał zwykle głową; czyli potwierdzał czy drzemał? nie wiem! Prawda i to że starościna wracała nader często do tego opowiadania; opowiadała zatem, wyznać trzeba, zdarzenie nie szczególne, ale przedstawiane zawsze z pewną zajęcie budzącą dramatycznością szczegółów, jeżeli nie przedmiotu.

— Bo uważasz asindziej, była to burza jakiej świat nie pamiętał... czy przypominasz sobie majorze?

Major kiwnął głową, ale zdało mi się dostrzedz uśmiech szyderski na jego twarzy.

— Bo to burza mój mospanie na Litwie, to nie tak, jak to u nas. Wiatr świstał przeraźliwie, ale takim świstem okropnym, jak gdyby tysiące rozbójników gwizdało po borze. A szum! a trzask! co chwila myślałam, że już zginęliśmy, bo te stare litewskie drzewa, powiem asaństwu łamały się i padały, albo z korzeniem wyrwane latały po powietrzu jak szalone. Czy pamiętasz majorze?

Major jeszcze niżej kiwnął głową dalej.

— Sam przecie asindziej mówiłeś, dodawała starościna porywając majora za guzik, że to te... już nie pamiętam jak się nazywały, okropnie dzikie zwierzęta.... jakże się zowią?

— Żubry! odpowiedział major machinalnie, i kiwał głową dalej.

— Bo to uważasz aśćka te żubry, to tylko są na Litwie, i mają być okropnie dzikie bestyje, mianowicie w czasie burzy. I uważajcie asaństwo, że to wszystko działo się w nocy, ale w nocy takiej czarnej, że podobnej nigdy nie pamiętam. W Litwie i noce są czarniejsze jak u nas; a te pioruny i łyskawice!.... Wiesz co serce, w takim byłam strachu, że z samego strachu nabrałam odwagi, i zaczęłam łajać majora.

— To dla aśćki, ani dla mnie nie nowina! mruczał major z uśmiechem więcej wesołym niżeli złośliwym.

— Jakże niemiałam łajać, proszę asaństwa, kiedy się uparł koniecznie, aby dojechać koniecznie tego dnia do jakiegoś tam miasteczka, w którym kiedyś konsystował, i mnie w takie strachy, nieszczęścia i awantury wprowadził, dlatego, aby sobie młodsze czasy garnizonowe przypomnieć.

— Co też aśćka wyplatujesz! mówił major wydymając usta, jak gdyby chciał coś smakować. Czemuż imość nie chciała nocować w karczmie pod lasem?

— Jaki szaleniec z tego majora! proszę państwa. Żyd w tej karczmie miał rudą brodę, a pod łóżkiem w izdebce którą nam dawali, były takie ogromne szpary w podłodze, i coś z nich tak wiało, jakby z piwnicy; coś tak przykrego i smrodliwego, jak gdyby z trupa. A przecież kto wie możebym już była została tam na nocleg, bo chmury czarne i noc goniły za nami, ale majorowi zachciało się jakby młodej mężatce na gwałt tego miasteczka.

— A już co nadto, to nadto! — odzywał się major

z wyrazem zabawnie energicznym. Ja odradzałem imości tej karczmy nie dla rudego żyda, który był tak rudy jak ja, i którego znałem dobrze, i nie dla szpary w podłodze, z której nic nie wiało, prócz chyba zapachu cybuli z piwnicy, ale odradzałem bo tam było brudno i niewygodnie. Nie było tylko jedna izdebka i jedno łóżko na nas dwoje.

— I cóż z tego? — odzywała się staróścina bez myśli, i dopiero po chwili zastanowienia zaczynała się śmiać wesoło sama z siebie, kiwając na majora palcem, z wyrazem niby grożącym.

Na to major odpowiedział grubym i rubasznym śmiechem, i wszyscy słuchający wtórowali mu oczywiście najweselszym i najnaiwniejszym śmiechem. Bo w owym czasie, strona obyczajowa niegrzeszyła wielką czystością, ale nie było tej dzisiejszej pruderyi, która wydaje się jakby twarz, mająca dla ludzi rumieniec zmyślonego wstydu, a dla powiernych rumieniec zapału i żądzy najprawdziwszej.

— A to błoto litewskie! — ciągnęła babina dalej; błoto powiem asaństwu niewidziane i niesłychane; możnaby utonąć z duszą i ciałem w tych bagniskach litewskich, które major nazywa ślicznym krajem.

— Zapewne że piękniejsze są piachy (piaski) mazurskie, bardzo przyjemne i dla oka, i dla stopy czy końskiej, czy ludzkiej.

To była tych starców wojna domowa, prowadzona ciągle, ale zawsze wesoło i z uśmiechem wzajemnego przywiązania. Major był Litwinem, a staróścina Mazurką.

— Aż nagle wśród szumu, świstu, ryku i łomotu coś zaświeciło!...

— Imość myślała, że to błędny ognik, i już chciała uciekać pod sosnę.

— Przestraszyłam się okropnie, to prawda, ale i to prawda, że to nie był błędny ognik! O nie! ja jestem niewdzięczna! żeby nie ten poczciwy major, żeby nie jego upor wytrwały, nie miałabym mojej Alinki!

— Co też imość wyplatujesz? — zagadywał major rubasznie.

— A że też nigdy nie przestaniesz być lampartem!

Major rósł z radości na te słowa, bo staruszkowi szło bardzo o zachowanie dawnej, słusznie zasłużonej reputacyi lamparta.

— To nie był ognik błędny! o nie! to było pierwsze światełko szczęścia mego; to było światło wychodzące z zagrody szlacheckiej, rzuconej w środek tych puszcz litewskich, gdzie mieszkali rodzice mojej Alinki. Śliczna to była zagroda, wyglądała w tej leśnej okolicy, jakby w pośród parku angielskiego. Ot! powiedziawszy prawdę, ta Litwa nie jest zupełnie brzydkim krajem, i serca litewskie poczciwe!

— Nie poczciwsze od mazurskich!

Tu następywał zwykły w opowiadaniu przestanek, bo w oczach sztaruszków zabłysły łzy. Oboje kochali się nawzajem i kochali Alinkę z równym, z młodzieńczym prawie zapałem.

Nie chcąc nad miarę przeciągać tego opisu, który jak go opowiadała staróścina trwał niepospolicie długo, i był poniekąd ciągłym dialogiem, w którym to sama staróścina, to major dodawali doń rys po rysie, odcień po odcieniu— opowiem państwu dalsze dzieje owej podróży po Litwie w pożądanem zapewne skróceniu. Muszę tu nawiasowo dodać, że podróż tę odbywała staróścina głównie dla tego, aby oddać ostatnią posługę matce majora, staruszce blisko ośmdziesiąt-letniej, która dogorywała w małej wioseczce na głuchej Litwie. Mimo całej swojej bojaźliwości, mimo antypatyi do wszelkiej podróży, nie chciała w takiej chwili opuścić majora, przywiązanego do matki nie po dzisiejszemu, i chciała nareszcie odwidzić raz jeszcze staruszkę, którą dawniej znała i szanowała. Trzeba bowiem wiedzieć, że mimo lekkości głów i serc, jakie znałem przed laty trzydziestą, poszanowanie starości, nie było całkiem wyszło z naszych obyczajów: dzisiaj zniknął i ten przesąd niegodny wieku rozumnego.

Dworek szlachecki, do którego burzą zagnana zjechała w nocy staróścina, należał do dobrej rodziny szlacheckiej, której przodkowie byli i bene nati, i possessionati należycie; ale w ostatnich czasach rodzina Mieleckich, jak i wiele innych u nas ludzi i rzeczy podupadła nadzwyczaj. Pozostał dworek, kilka chałup dziedzicznych, dobre imię, i tradycyonalnie znane poczciwe serca, prawdziwie szlacheckie i szlachetne. W domku tym było w całem tego słowa znaczeniu, ubogo ale chędogo. To światło w późnej nocy, które sprowadziło staróścinę do nieznanego dworku, było zaprawdę błyskiem przeznaczenia, który sprowadził nieznane sobie osoby, palcem zda się przeznaczenia kierowane. Staróścina zastała panią Mielecką w ważnej i boleśnej chwili; w parę bowiem godzin po przybyciu niespodziewanych gości, gospodyni powiła bliźnięta. Były to dwunasta i trzynasta z kolei córki. Litewski szlachcic z pokorą i radością razem przyjął to nowe błogosławieństwo boże, bo u nas w Polsce dawnej, przybywanie dzieci, nazywano zawsze bożem błogosławie stwem, a mianowicie na Litwie, gdzie jakoś temi bagnami i borami oddzielone od świata siedziby ludzkie, najdłużej zachowały dawną wiarę i dawne obyczaje. Ani przez jedną chwilę nie poszemrał naprzeciw opatrzności, która go samemi obdarzała córkami, chociaż pewnie w głębi duszy swej nieraz zapragnął syna. Mimo zubożenia swego szlachcic był zawsze szlachcicem, i rad był nie zstępować do grobu ostatnim swego rodu. I sama pani Mielecka przyjęła ten nowy przybytek kłopotów macierzyńskich bez westchnienia, szczerą jeno wysławszy ku zawieszonemu na ścianie obrazowi Bogarodzicy, modlitwę za szczęście tych dwojga biednych niemowląt. Lecz była w domu babka samego Mieleckiego, staruszka przeszło stuletnia, którą słuchano i sza-

nowano w domu jakby wyroczni jakiej, czyli raczej czczono ją, jako świętą opiekunkę ubogiego dworku. Długie jej życie miano za dowód błogosławieństwa bożego. Owóż staruszka mimo pobożności swojej miała niektóre przesady, o które na Litwie nie trudno, i jedna w całym domu przyjęła wiadomość, o dwóch nowo przybyłych wnuczkach z wyrazem szczególnego przerażenia. Nie przeraził ją przybytek kłopotów, niebardzo zupełnie potrzebny dla rodziny, obdarzonej już i tak mnogiemi życia troskami, ale przestraszyła ją ta złowroga liczba: trzynastu prawnuczek. Z tą liczbą której się bała przesądnie, łączyły się jakieś smutne pamiątki. Ona miała trzynastu synów. Skoro się urodził trzynasty, który był ojcem naszego szlachcica, jeden po drugim, umarło jej dwunastu synów w przeciągu lat kilku, i ledwie tego ostatniego wyratowała, ubierając go od dziecka w szaty zakonne, susząc przez resztę życia dwa razy na tydzień na jego intencyą, i odbywając rok rocznie piesze pielgrzymki do miejsc świętych, w które Litwa zawsze obfitowała. Trzynastego dnia po urodzeniu ostatniego syna, a był to także trzynasty dzień miesiąca, przyniesiono jej męża nieżywego z polowania. Nieostrożnie nabita strzelba rozpękła się, i zraniła go w głowę śmiertelnie. Można więc łatwo wyobrazić sobie, jakie na niej zrobiło wrażenie, przybycie trzynastej prawnuczki, przybycie tem okropniejsze że niespodziewane; nieprzyszło bowiem staruszce na myśl nawet możliwość dwojga naraz bliźniąt. Staruszka opowiedziała to wszystko przed starościną z tem zaufaniem naiwnem jakie zwykle mają starcy, i jakie mają mianowicie ludzie serc poczciwych.

(D. n.)

Obrzęd weselny *).

Już upływa tydzień, idą zapowiedzi,
Błogosławią krewni, kumowie, sąsiedzi,
Państwu młodym. Oni na drugim tygodniu
Z druhami, z drużkami wciąż chodzą dzień po dniu
Od domku do domku, jak zwyczaj był stary.
W czyje wstąpią progi, z zaręczonej pary
Cieszą się domowi, gospodarstwo radzi.
Ci do nóg padają państwu i czeladzi,
Nawet niemowlętom, i proszą w pokorze
O błogosławieństwo. „Błogosław wam Boże!"
Z serca im mówiono, w czoło całowano,
I jakieś łzy rzewne słodkie wylewano.
Tydzień Bronisława ze swoim Michałem
Padała do kolan czołem śnieżno-białem,
I jasnemi włosy w rozmaryn strojnemi
I w zieloną rutę, chwiała się ku ziemi,
Niby hoża topol, co powabne czoło
Strojąc w liść zielony chyli naokoło.

Tydzień tak chodzili do dworków i chatek;
Lecz nim do rodzica swego na ostatek
Z nadobną synową zawitał pan młody,
Z pokłony go prosząc na weselne gody,
Wprzódy się starannie ozdobią oboje
W rozmaryn i rutę, we świąteczne stroje,
I jadą do zamku barona porankiem.
A skoro stanęli przed zamkowym gankiem,
Naprzeciw sług strojne wyskoczyły rzędy,
Jak wielmożnym państwu okazując względy,
Otwarli podwoje wytwornych salonów.
Niedał im pan baron rozpocząć ukłonów.
Naprzeciw nim wybiegł, rozłożył ramiona,
I śród dobrych życzeń przyciskał do łona,
Jakby swoje dzieci. A potem z jejmością
Zaczął przysposabiać, co swoją hojnością
Dla młodych był przyrzekł: z udatnym konikiem
Zgrabną taratajkę z ślicznym dywanikiem,
Z zagrody dwa piękne przypędzono wołki;
Na półanek pola zapis był gotowy,
Do kieski wsypano z brzękiem na igiełki.
A Michał z Bronisią, nieśmiałemi słowy...
Padając do kolan, na wesele proszą
Barona i jejmość, córeczkę Elżbietę,
Siedzącego przy niej Franciszka poetę
I pana Augusta. A lubo z rozkoszą
Widziano przybycie zaręczonej pary,
Jednak baronowa rzekłszy: *mon cher mari*,
Na bok bierze męża i wspólnie z nim radzi.
Czy przestawać z gminem barońswu nie wadzi.
Gdy się namyślali, Elżbietka wbieżała:
Oko łzą świeciło, a twarz pełna wdzięku,
Nigdy takim blaskiem jeszcze niejaśniała.
Obojga rodziców całując po ręku,
Błagała ze łzami: „Moja mamo droga!
Jedźmy na wesele, o jedźmy dla Boga.
Ja lubię tę dziewkę, ja bardzo ją lubię;
Jak będzie szczęśliwa, gdy będziem na ślubie;"
Trafiła ta prośba do serca barona;
Ująwszy nadobną Elżbietkę w ramiona,
Całował jej skronie i rzekł temi słowy:
— „Pojedziem, tak każe staronarodowy
A chwalebny zwyczaj, po dziadach puścizna,
Którzy chociaż groźni hartownym bułatem,
Ostatniego z ludu zwali swoim bratem.
Skąd dziś infelicja, niech każdy z nas wyzna.
Pojedziem, powiadam, jak jestem baronem,
Pojedziem, powtarzał, gdy Bronisia hoża
Z twarzą jaśniejącą, niby wschodu zorza,
Przybiegła, powabnym błągając ukłonem.
Na ramię spadły ukwiecone włosy,
Łzy z oczu błyszczały, niby krople rosy,
Tysiącem nowego jaśniała uroku,
Jak jutrzenki postać płonącej w pomroku.
Bo dziewczę przed ślubem jest to owa wiosna
W najwyższej piękności, marząca, miłosna,

---

*) Epoka dzisiejsza literatury jak celuje powieściarstwem tak uboga jest w płody poetyczne. Zbierając, co tylko gdzie pojawi się z poezyi, czy z pod pióra pisarzów znanych czy młodszych, trudno nam jednak wybór uczynić zupełnie zadowalniający. Wszędzie znaleść można formę gładką, wiersz płynny, ale rzadko myśl świeżą. Powyższy ustęp z powieści: „panna Bronisława", umieszczony w dzienniku warszawskim, często chromym i nie gładkim pisany wierszem, odznacza się przynajmniej rzewną myślą i rzadką prostotą wyrażenia.

Co kwiatów najświeższe roztoczyła pęki,
I najczarowniejsze rozwinęła wdzięki;
Której już powabów i blasku nie stało
Ozdabiać swą postać uroczą, wspaniałą.
W najwyższej swej chwale chyli skroń w objęcia
Płonącego żarem młodzieńczym chłopięcia,
Ognistego lata, do którego łona
Tuląc się powoli, uwiędnie i skona.

Dzień oczekiwany, nadszedł dzień weselny;
Był to najpiękniejszy letni dzień niedzielny.
Od rana już w białym domku przy gościńcu
Ruch niezwykły kipiał. Po dużym dziedzińcu
Snują się drużbowie, a przy żupaniku,
Miał każdy u piersi wonnych kwiatów pęki,
Co wczora otrzymał z panny młodej ręki.
Szabla przy jedwabnym brzękała pasiku;
Raz tylko do roku tę świąteczną odzież
Na rezurekcją bierze miejska młodzież,
Gdy przy grobie Pańskim, z dobytą szablicą,
Trzyma straż trzydniową. Dziś drugi raz w roku
Błysły u pasików szabelki u boku,
A dłoń wiwatową wywija rusznicą.

Panna młoda z drużki usiadła w komorze,
Jaśniejąc pięknością, niby ranne zorze.
Druchny ją obiegły, zaplatają kosy,
W mirty i rozmaryn ukwiecają włosy,
W korale i perły ozdabiają skronie;
Na śnieżystą suknię wstęg różowych pęki
Cudnie rozsypują; u jasnej sukienki
Opinając kwiaty na dziewiczem łonie.

Jeszcze ją kwiecono, a już w sieniach grzmiały
Na dzień dobry basy, skrzypce i cymbały;
I z dwunastu rusznic razem wystrzelono,
Gdy Michał z komory wywiódł narzeczoną,
Na którą wciąż czekał i do drzwi kołatał.
Wyszła narzeczona na pogodnem licu
Niby w noc wiosenną chmurki po księżycu,
Jakiś uśmiech tęskny, niepewny przelatał,
Rzekłbyś na źwierciadło lic dziewiczych padał
Lekki blask płomienia, co jej sercem władał.
W tem sercu się zbiegał, jak w żywe ognisko,
Różnych uczuć promień, łamał się, krzyżował;
Jutrzenkę dni przyszłych, niepewnych malował,
Na niebie jej oczu, niby świat różany
Zwiastujący dzionek, co gdzieś błądzi blisko
I rozlewa urok uroczystej ciszy,
Lecz nie może wzbić się nad błędne tumany.
Wokoło dziewicy nowe życie dyszy,
Nowe wstają czary, bo każdy zakątek,
Każdy krzew w ogrodzie, pagórek, dolina,
Ileż z lat dziecinnych zawiera pamiątek!
A to wszystko rychło pożegna dziewczyna;
Między cudzych ludzi, od rodzinnej matki,
W cudzy pójdzie domek z ukochanej chatki.
A ciężko swą duszę niby krzaczek młody,
Przeszczepić z rodzinnej do obcej zagrody;
Nie prędko dni jasnych wspomnienia ciemnieją.

Muzyka wciąż huczy, następnie koleją
Długo obchodziła, na dobrydzień grzmiała
Sławetnym sąsiadom. A młodzież rusznicy
Ciągle nabijała, hukała, strzelała,
Głosząc dzień weselny całej okolicy.
Tu jedni strzelają, a drudzy wytworno
Przy bukietach strojni, z wstęgami białemi
Chodzą po sławetnych, przemową pokorną
Siwemi się czapki kłaniając ku ziemi,
Proszą by sąsiedzi krewni i kumowie,
Pospieszyli wypić państwa młodych zdrowie.
A prosząc tak mówią: „Od początku świata,
Ptaszek jak wyrośnie, z gniazdeczka ulata.
Dzisiaj nam ulata nadobna zezula;
Więc proszą waszeci ojciec i matula,
Byście tam przybyli, radzili zezuli,
I z nami prosili, może się rozczuli,
Zostanie przy gniazdku, aby było komu
W święto przy procesji nieść obraz u fary,
Rozwieszać rozchodnik i bylicę w domu,
A będą wam radzi z matką ojciec stary."

Więc zaraz kosztowne dobywano szaty,
Ze skrzyń pakowanych futra i bławaty,
W staroświeckie stroje zdobią się kobiety,
W złoto-lite suknie, a głowy w kornety
Czarnoaksamitne, w które się zdobiły
Jeszcze ich prababki, gdy na świecie żyły.
Mężczyźni jedwabne rozwijają pasy,
Co jeszcze pradziadów pamiętają czasy.
Niejeden z tych pasów był jedwabnozłoty,
Od pradziadów brany tylko na zaloty:
Siedm kroć pas taki dokoła obstanie;
Cudnie przy błękitnym wyglądał żupanie,
Rzadko używany nawet do kościoła. (D. n.)

Imieniny Niemcewicza.

Któż z was, nie czytał dzieł Juliana Niemcewicza? któż z was na pamięć śpiewów jego nie umiał? któż z was Jana Tenczyńskiego nie zna? Nie myślę ja rozbierać tego ostatniego dzieła, ale powiem tylko, że Jan Tenczyński był w ręku każdego polaka, każdego z nas przeniósł myślą w epokę naszej świetności, naszej chwały, w złote zygmuntowskie czasy; przypomniał nam praojców zwyczaje, wprowadził nas do wnętrza ich życia, odświeżył pamięć serc naszych.

Aleksandra z Lubomirskich Potocka, wdowa po Stanisławie Kostce Potockim, prezesie senatu, przepędzała resztę lat swoich w Warszawie, we własnym pałacu. Julian Ursyn Niemcewicz, od czasu czteroletniego sejmu, kolega jej męża, jednego z nim sposobu widzenia rzeczy, odtąd stał się nieodstępnym domu Potockich przyjacielem.

Było to w roku 1828. Zbliżały się imieniny Niemcewicza, a pani wojewodzina Potocka, pragnąc je obchodzić, umyśliła sprawić staremu przyjacielowi niespodziankę, zgodną z jej sercem, godną tego, którego wszyscy kochali i szanowali.

Przenieść naszego wajdelotę w zygmuntowskie czasy,

których był żywem odbiciem, w czasy tak wiernie przez niego oddane, zaprosić go do stołu Zygmunta Augusta i Barbary, posadzić obok Kochanowskiego, Janickiego, Reja z Nagłowic, było to samo, co go uwieńczyć z jego własnego ogrodu zebranemi kwiatami.

Nastał dzień 13. lutego. Niemcewicz zaproszony na obiad do pani wojewodziny, akuratnie przed samą ucztą nie omieszkał przybyć. Przekonany, że znajdzie zwykle tam goszczące osoby, mocno się dziwił, gdy wszedł do pustego salonu. Już od pół godziny wzdłuż i wszerz się przechadzał, a właściwa mu niecierpliwość, na humor wesoły złe skutki wywierać zaczynała, gdy się otworzyły od bocznej komnaty podwoje. Wysunęli się dworzanie, a marszałek dworu na głos zawołał: „Król Jegomość!“ Wszedł Zygmunt August, a za nim Janicki, Jan Kochanowski, Rej z Nagłowic, Jan Tenczyński, Don Alonzo di Medina Czeli, i reszta królewskiego dworu.

Jan Rudzki, były sekretarz ś. p. wojewody, świeżo z Włoch przybyły, bardzo podobny ze wzrostu i z rysów twarzy do Zygmunta Augusta, jak go nam malują, tego monarchy rolę wziął na siebie; marszałka dworu odgrywał Buczyński sekretarz kancelaryi senatu, Jana Kochanowskiego Józef Lipiński wizytator szkół, Reja z Nagłowic Ludwik Osiński, Janickiego Prévot, konsul austryacki, Hiszpana di Medina Czeli i młodego Jana Tenczyńskiego, August i Józef Potoccy.

Zygmunt August był w hiszpańskim stroju, miał suknią spodnią z lamy srebrnej w passamany karmazynowe, pięknie perłami szytą, płaszczyk krótki czarny aksamitny z szerokim złotym haftem, na głowie kapelusz kastorowy, czarny z trzema strusiemi piórami, spięty pętlicą z dużych dyamentów; również drogiemi kamieniami ozdobiona, zawieszona na szyi ozdoba złotego runa. Młody ten pan, liczący dopiero lat 29, hożej był postaci ciała, i twarzy nadobnej. Włos jego jasny, oczu dwoje błękitnych, nie wielka broda od połowy dzieliła się na dwie części kończate. W każdem słowie powaga i słodycz.

Skoro Zygmunt August stanął w pośrodku komnaty, przystąpił do niego marszałek dworu, w karmazynowym żupanie, w biało-perłowym kontuszu, okolony złocistym perskim pasem, z karabelą u boku; a skłoniwszy się królowi: «Najjaśniejszy Panie, rzekł głosem pełnym uszanowania, stosownie do woli Waszej Królewskiej Mości, mam zaszczyt przedstawić wam jegomość pana Juliana Niemcewicza. Kto tak, jak on, za kraj cierpiał, kto tak cierpienia swoje na żałosnej odśpiewał strunie, ten wart być policzonym w poczet wieszczów, będących ozdobą panowania waszego, wart do zygmuntowskich należeć czasów.» «Miło nam jest, odezwał się Zygmunt August z uprzejmością, powitać Waszmości, spodziewamy się, że pozostaniesz na naszym dworze, a będziemy się starali wszelkiemi siłami, cierpienia wasze osłodzić.» Niemcewicz odurzony z początku taką niespodzianką, gdy przyszedł do siebie, nie chcąc przerywać tak słodkiego marzenia: Najjaśniejszy Panie, zawołał, jeżlim cierpiał, jeden tylko król z Jagiellonów rodu, jedna tylko nadzieja powrotu zygmuntowskich czasów, potrafią przywrócić bicie ostygłemu sercu, późną starością obolałemu. «Bądź Wasze dobrej myśli, odparł monarcha, a ponieważ w dniu dzisiejszym miłą dla nas obchodzimy uroczystość, zapraszamy Waszą miłość do naszego królewskiego stołu.» Poczem zbliżył się Zygmunt do Alonza di Medina Czeli, świeżo z Janem Tenczyńskim z dalekich zagranicznych krajów przybyłego. Obaj młodzieńcy zachwycali krasą lica, urodziwym wzrostem, rycerską postawą. Don Alonzo miał na sobie szatę hiszpańską, białą jedwabną, płaszcz aksamitny ze srebrnym haftem w palmy szerokie, z szeroką frezą z najpiękniejszych koronek brabanckich. Na czarnym zagiętym kapeluszu, wznosiły się pióra strusie, dyamentową pętlicą spięte. Obok niego stojący Jan Tenczyński, najpiękniejszej postaci, był również w hiszpańskim bogatym i okazałym stroju; na piersiach jego spostrzegłeś medal z wizerunkiem cesarza Karola V., zawieszony na łańcuchu złotym, darowany przez tego monarchę, z wysoko zalecającemi go listami królowi polskiemu.

W tem po drugiej stronie komnaty, podniosła się z ciężkiego adamaszku zasłona, a marszałek królowej: «Najjaśniejsze Panie!» oznajmił.

Ujrzano wchodzące panie dworskie, księżnę Radziwiłłową wojewodzinę trocką, bratową królowej, panią Szydłowiecką, wojewodzinę krakowską, panią Sieniawską, księżnę Maryannę Czartoryską, Gurkową, Leszczyńską i inne. Za niemi postępowała poważnie królowa Bona, matka królewska, mająca po prawej ręce panującą królowę Barbarę, po lewej królowę Izabellę, siostrę królewską, wdowę po Janie z Zapola królu węgierskim. Ta trzymała rękę kilkoletniego syna. Królowa Bona miała na sobie suknią aksamitną czarną, z welonem od głowy do stóp, zwykły ubiór wdowi. Na głowie czepek z najkosztowniejszych koronek, na szyi kanak z dużych na przemiany rubinów i pereł. Młody Andrzej Firlej, syn Piotra wojewody ruskiego, niósł długi od szaty ogon. Królowa Bona, acz zapędzona w lata, zachowała ślady dawnej piękności. Rysy twarzy świadczyły pomieszany ród hiszpański z włoskim. W słowach, w spojrzeniu dumna i rozkazująca, umiała, gdy potrzeba, przybrać ton przymilenia i słodyczy. Królowa Izabella, przywdziała na siebie strój węgierski i opiętą ciemnofioletową suknię, w srebrne palmy, dolman jasnocytrynowy z potrzebami z pereł, sobolami podbity. Sznurek dużych pereł z wiszącemi kutasami za związanie służył. Na głowie nie wielki sobolowy kołpak z piórami i dyamentowym węzłem. Mały jej, syn królewicz Zygmunt, ubrany był po węgiersku, z dyamentową kitą u kołpaka. Był to dar So-

limana sułtana, dany w dniu, kiedy małe to książę oddane mu było w opiekę.

Wszystkich oczy wlepione były w panującą królową Barbarę. Zapomniano bogactwa strojów, by patrzyć na zachwycającą piękność osoby. Pani ta, w której każdy z nas poznał Natalią Potocką, liczyła zaledwo rok dwudziesty życia. Wzrostu wyższego nad mierny, kształtnej kibici, w każdem ruszeniu, w każdem słowie, wdzięk niepojęty posiadała. Lica gładkie, rysy twarzy fantazyjne, oczy duże ciemnobłękitne, niewymownej słodyczy; rzęsy ciemne tak długie, iż cień ich odbijał się o bladawe jagody, brew ciemna a wązka, gęste włosy jasnej barwy, usta malownicze z przelatującym czasami uśmiechem, czasami z chmurką lekkiego kaprysu, tak powabnego w ładnej kobiecie; czoło przezroczyste, otwarte, białe jak śnieg ramiona, jeżeli się różniły podobieństwem z Barbarą Radziwiłłowną, czyniły ją podobniejszą do Minwany, dziewicy Ossyana! Królowa Barbara miała na sobie suknię białą jedwabną, całą nasianą srebrnemi półksiężycami. Podnosił się od ramion kołnierz z koronek. Trzy rzędy niezmiernych pereł na szyi; włosy splecione w warkocz a orzeł biały z potężnych dyamentów służył im za spięcie. Patrząc na ulubioną małżonkę Zygmunta Augusta, która w rok później miała wstąpić do grobu, mimowolny smutek cisnął się do serca; a dzisiaj rozmyślając, że ta w samym kwiecie dni swoich, pełna życia, stworzona dla szczęścia Natalia, we dwa lata później miała się rozstać z tym światem, westchnienie głos tłumi, a łza żalu grobowiec jej skrapia! Szczęśliwsza, że ją Bóg powołał do siebie, że zaledwo dotknęła się życia, uleciała jak słodkie marzenie, jak sen znikomy, jak modlitwa dziecięcia do nieba! Szczęśliwsza, bo niesłyszała szczęku kajdan, nie widziała męża kaleką, młodzieńca starcem!

Król Zygmunt pospieszył na spotkanie królowej Bony; dawszy potem znak panu Niemcewiczowi, gdy się ten zbliżył, przedstawił go matce, żonie i siostrze, jako znakomitego poetę. «W jakim wasz mość języku rymy swoje składasz?« zapytała królowa Bona. „W ojczystym,« odpowiedział Niemcewicz. „To wielka szkoda, odparła ta pani, podług mnie w jednym tylko dawnych Rzymian języku można być wielkim poetą.« „Nie prawdaż panie Janicki?« dodała. «Tak jest, Najjaśniejsza Pani,« odezwał się Janicki nisko kłaniając. „Polak po polsku pisać powinien, zawołał Niemcewicz, śmiało z mojem występuję zdaniem, bo z niem się odzywam przed polską królową.« „Miło nam słyszeć z ust waszmości, odezwała się królowa Barbara, słowa pochodzące z serca.« „A mnie odpowiedział Niemcewicz, miło widzieć w tobie królowę; bo któraż od ciebie godniejszą nad sercami panować?»

Przez ten czas król obchodził w koło i rozmawiał z przedniejszymi pany. Uprzejmy, wesoły, łaskawy, od wszystkich kochany.

(D. n.)

Włościanie na Żmudzi.

* Nie tylko w Galicyi, ale i w innych prowincyach dawniej do Polski należących przechowują się podania o dawniejszej zamożności włościan. Idź pomiędzy lud, a opowiadać ci będą; jak to dawniej ich prapradziadowie mieli po kilka par wołów, w każdem obejściu, po kilkanaście krów, po kilkaset owiec. Podania te utrzymują się osobliwie w górach, bo już to jest charakterystyką każdego gorala na świecie, iż więcej wspomina o dawnych czasach. Pójdź pomiędzy lud francuski lub angielski lub niemiecki, a niestworzone rzeczy opowiadać tam będą o dawniejszym ucisku swym, o okrucieństwach doznawanych od feudalnych swych panów. Między ludem naszym tych podań prawie niema. Czy w powieściach opowiadanych na wieczornicach naszych słyszał kto kiedy podobne, jakie znajdujemy w zbiorach opowieści ludów zachodnich?..... gdzie szlachcic, baron lub rycerz wystawiany jest najczęściej jako okrutnik, przed którym drży wszystko. W Polsce był nie feudalny lecz patryarchalny stosunek między szlachcicem a chłopem. Zamożnością swych włościan chlubił się szlachcic, a wydarzeń dowodzących szczerego przywiązania włościan do swych panów z dawniejszych czasów tysiące by przytoczyć można. Chodźko w Podaniach litewskich następujące opisuje wydarzenia:

Zamożność włościan żmudzkich, teraz jeszcze dostatniejszych niżeli w innych prowincyach, że była dawniej prawdziwie znakomitą i wielką, dowodzą anegdoty opowiadane dziś na Żmudzi i znajome dziś powszechnie, a które z czasem w podania przejdą.

I tak ks. Franciszek Sapieha, objąwszy po śmierci ojca razem z innemi ogromnemi dobrami na Litwie, i Szkudy na Żmudzi, przybył tam, nieuprzedziwszy wprzód rządcy, *incognito*. Nieznano tam jeszcze nowego pana, i on nieznał nikogo. Wysiadł książę z pojazdu w miasteczku, a że to była niedziela, wszedł więc w pośród nabożeństwa do kościoła; kościół był pełny, ławki wszystkie zajęte, najwięcej damami: więc niemogąc nigdzie pomieścić się i usiąść, dosłuchał mszy stojący, myśląc, że to są wszystko obywatelki, sąsiadki dóbr jego. U plebana potem, do którego po nabożeństwie zaszedł i objawił kim był, dowiedział się z zadziwieniem, że to były jego włościanki.

Sławnem jest także powitanie natenczas młodego dziedzica przez włościan Szkudzkich. Urządzili oni mały okręcik z łodzi morskich na kołach, które równie jak i konie ukryte były pod spodem: okręt ten więc przypłynął z rozpiętemi żaglami na dziedziniec do dworu, a z niego wysypali się majtkowie, wynosząc dary dla dziedzica, któremi okręt był naładowany. Dary te składały się z wielu antałów, wybornego wina i rozmaitych tak natenczas zwanych bakalii, oraz drogich zapraw kuchennych, których przy pańskich tylko stołach można było szlachcicowi pokosztować.

Niekiedy, jak wieść niesie, kilkaset dukatów na srebrnej tacy bywało dobrowolnym powitalnym darem, których gdy bogaty pan nie przyjmował zwykle, włościanie nie odnosząc nazad ofiary swojej, dworskich jego złotem osypywali.

Szczęściem to było dla szlachcica zostać rządcą jakich dóbr wielkich na Żmudzi. Nie mieszkali tam panowie, obierając zwykle swe rezydencye w bliższych swych od stolicy dobrach, do której wysokie dostojeństwa i urzęda ich wiązały. Komisarz zatem, a jak tam nazywano gubernator, był drugim panem, jedynie znajomym i codziennie mającym stosunki z włościanami i byle był poczciwym, łagodnym i sprawiedliwym, bez żadnej prawie pracy, bez uszczerbku dochodów pańskich, zbierał często znakomity fundusz, do którego dary włościan nie mało się przykładały.

Kiedyś n. p. jeden z takich administratorów Szkudzkich ożenił się jak powiadają z piękną bardzo kobietą, która z dumy, czy z kaprysu, nie pokazywała się włościanom, a ciekawi byli poznać swą panią; postanowili więc każdy osobno przychodzić z podarkiem pie-

nięźnym dla niej, lecz razem z proźbą złożenia go we własne jej ręce. Wieść nie daje wiadomości, jakich użył środków mąż, do przełamania oporu kapryśnej, czy dumnej piękności....... Było w Szkudach o koło 2000 chat, odebrała więc Pani tyleż wizyt, ale za te audyencye, złożone podarki wynieść miały pięć tysięcy dukatów.—

W drugich książęcych także, ale innego imienia a również wielkich na Żmudzi dobrach (zdarzenie to najprawdziwsze), rządcą był zacny i pięknego imienia szlachcic, Bortkiewicz. Rodzice jego posiadali w prawdzie nie mały folwarek w powiecie Rosieńskim, ale licznem ich Bóg obdarzył potomstwem, a tak w perspektywie, nie wielkie dzieciom obiecywały się dostatki. Starszy więc syn ich, ukończywszy nauki, podług powszechnego natenczas obyczaju udał się na dwór księcia, trzymać się klamki pańskiej i szukać tam sobie kresecytywy. Jakoż przez kilka lat tak się potrafił młodzieniec zasłużyć i podobać księciu, taką zjednał sobie ufność i szacunek jego, że mu on zarząd swych dóbr Żmudzkich powierzył. Lat z dziesiątek pełnił on potem ten obowiązek; włościanie pokochali go bardzo, i dobrze mu się działo, lecz nie mógł on jak inni składać grosz do grosza i zgromadzić kapitalik, bo złączony familijnie z wielu dostojnemi domami na Żmudzi, żyć musiał i przyjmować gości nad możność zwyczajnego administratora, a stróż wierny dochodów pańskich, swoich zatem oszczędzić nie mógł, i tak talar talara gonił, a żaden długo w kieszeni się nie osiedział.—

W tem księciu wyjeżdżającemu za granicę potrzeba było gotówki; postanowił on więc wypuścić w aredę dobra Żmudzkie, i wziąć z góry kilkakroć stotysięczną z nich roczną intratę. Wiadomość ta jak piorunem uderzyła Bortkiewicza: Stracił miejsce — przeraziła też bardzo przywiązanych doń włościan—tracili ulubionego pana—bo księcia, który nigdy w tych nie był, nie znali nawet. Więc radą w radę między niemi, i postanowiono, aby nie kto inny tylko Bortkiewicz wziął w aredę dobra te.—Przyszli doń zatem z tą propozycyą—A pieniądze zkąd? zapytał on zdziwiony: trzykroć sto tysięcy moje dziatki! a ja i trzech tysięcy nie mam.— Pieniądze my złożym—odpowiedzieli, nam częściami oddawać będziesz, a zysk wasz. I tu zaczęło się dobrowolne otaxowanie się na składkę. Bortkiewicz pisał kredą na stole, a włościanie dyktowali liczby: w krótce podsumowano 15.000 czerwonych złotych i nazajutrz już one były w szkatule Bortkiewicza, bez kart, bez obligów, z prostą tylko notatką, kto i wiele przyniósł.—

Wziąwszy zatem Bortkiewicz z sobą kilka zacnych gospodarzy, bo przed księciem nic z tej okoliczności zataić nie chciał, wyprawił się z pieniędzmi do Warszawy, gdzie natenczas przebywał książę dziedzic. Tam on dowiedział się o wszystkich szczegółach tej sprawy z niewymównem zadowoleniem, i gości swoich włościan, przyjął najuprzejmniej: chlubił się przed całą Warszawą ich zamożnością, która była razem i dowodem jego względem nich ludzkości a z pańską wspaniałością nagradzając i swych chłopków i ich rządcę, przyjął ochotnie przywiezioną propozycyę, rozliczył intratę na korzyść Bortkiewicza, ustępując mu nawet bezpłatnie krescencye kilku tam znajdujących się folwarków. Folwarki te w miarę obszerności dóbr nie były wielkie, bo gotowe czynsze tam jako i we wszystkich znakomitszych na Żmudzi dobrach składały główny, i prawie jedyny a wysoki dochód dziedziców; zakładano je bowiem pierwiastkowie, dla pomieszczenia i utrzymania tylko miejscowych officiów; ale w kraju tak handlowym, pod Rygą, na ziemi tak błogosławionej, i małe zasiewy, zwłaszcza lnu, przynosiły znakomite zyski. Słowem po latach kilkunastu tej arendy Bortkiewicz, kupił sobie na Litwie chat z półtora sta, do którego nakoniec z żalem włościan tamtejszych przeniósł się.

Lecz rozłączenie się to nie przerwało wzajemnej wdzięczności.— Miło było widzieć, jak zapraszani przez Bortkiewicza na domowe jego rozmaite obchody i uroczystości, przybywali doń kochani goście jego, włościanie staruszkowie ze Żmudzi, a nigdy mu przybycia nieodmówili; jak on sam, ojciec licznej rodziny, rad im był z całego serca, zasadzał ich u stołu obok siebie i dorodne już dzieci swoje przedstawiał im nauczając synów miłości, wdzięczności i poszanowania dla tych nieoszacowanych przyjaciół swoich; i nakoniec, jak poczciwi starcowie błogosławili domowi, i jakby własnemu potomstwu jego... Nie mam potrzeby dodawać jakim był sam Bortkiewicz panem dla swoich własnych włościan.—

Niegdyś w młodości mojej przysłuchiwałem się opowiadaniu tej całej historyi przez naocznego jej świadka, a umieszczam ją tu naprzeciw tylu potwarzom, modnym niestety! a w ogólności niesprawiedliwym, o obchodzeniu się z włościanami ojców i dziadków naszych.

Rozmaitość.

* **Zaślubiny Najjaśniejszego Pana,** które 24go kwietnia nastąpią, obchodzone będą uroczyście w całej monarchii. We Lwowie ma być illuminacya, bal i festyn narodowy na górze piaskowej. Oprócz tego przez dwa wieczory teatr *paré*.

* **Bal u J. Exc. hrabiego Lewickiego** odłożony dnia 25go lutego dla słabości córki, odbędzie się dnia 19go marca, na ś. Józefa.

* **Wpływ nauki języka i literatury polskiej** zaprowadzonej po gymnazyach galicyjskich przyczyni się znacznie do wzrostu literatury polskiej w Galicyi. Już dzisiaj wszędzie spotykać można wiele młodzieży piszącej, jak na początkujących dosyć wprawnie i rokujących nadzieje na przyszłość. Potrzebaby jedynie, aby młode talenta pokierowane były z pożytkiem dla kraju, aby nie wpadły ani w gramatykarstwo i etymologiczne badania, lub w zatapiania się w przedhistoryczne czasy, te dwie choroby, którym głównie Galicya ulegała. Trzebaby prawdziwego dziennika literackiego, któryby wskazując jakim torem bieży obecnie literatura polska, stanął na czele tego wznawiającego się u nas ruchu literackiego.

* **Śmiałe przypuszczenie.** Anglik Harrington w prelekcyach o wyprawach Franklina utrzymuje, iż igła magnesowa dowodzi wielkiej kondenzacyi elektryczności u biegunów, iż z podobnego nagromadzenia się tamże elektryczności zapalać się musi atmosfera i że okolice północnego i południowego bieguna nie mogą być siedzibą najzimniejszego na świecie klimatu, lecz przeciwnie muszą być miejscem gdzie największe panuje gorąco. Ów głośny, do gromu podobny huk, który żeglarze często pod biegunami słyszą, nie ma być łoskotem z pękania lodowatych gór pochodzącym, lecz ma być huk towarzyszący zwykle palącemu się płomieniowi elektrycznemu, którego odbiciem i łamaniem są zorze północne, których dotąd żadnym sposobem wytłumaczyć nie było można. Między tem morzem palącego się ognia na biegunach, a lodowatemi wybrzeżami lądu stałego musi znajdować się strefa umiarkowana czego dowodem najlepszym ma być ta okoliczność, iż zwierzęta pod zimę jeszcze dalej ku biegunom północnym się wynoszą. Pod tą to szczęśliwą umiarkowaną strefą ma według przypuszczenia Harringtona, Franklin i jego towarzysze podróży dotąd zostawać, nie mogąc ani dalej płynąć ku morzu płomienia elektrycznego ani przebić się na powrót przez lody.

* **Nowy rodzaj loteryi.** Młody mężczyzna w Paryżu z dobrej jak to mówią familii, przystojny, wykształcony ale bez majątku, życzył sobie gorąco ożenić się i przyjść do majątku. Aż nareszcie wymyślił następujący środek. Oto puszcza siebie na loteryę ułożoną w ten sposób, iż stawka dziewcząt od 18. do 25. lat wynosi 6 franków, wdów od 18. do 25. lat bezdzietnych 12 franków, mających dzieci 18. franków. Dziewczęta od 25. do 30. stawiają po 24 franki, wdowy w tymże samym wieku 30 franków, a jeźli nie są bezdzietne po 36 franków. Za każdą stawkę otrzyma każda los jeden, a gdy uzbiera się z stawek 400,000 franków, nastąpi ciągnienie. Osoba

której los pierwszy wyjdzie dostanie męża i połowę stawek (200,000 franków). Jeżeliby zaś mąż jej nie podobał się, więc wolno jej kontentować się tylko pieniądzmi.

* **Nowy sposób robienia rycin.** Anglik Ferguson Brandson wynalazł nowy i bardzo łatwy sposób robienia rycin. Robi on rysunek na mydle, z którego odlew bierze potem na guttaperchę. Z guttaperchy zaś przenosi sposobem galwanoplastycznym na płytę miedzianą. Tym sposobem ryśownik sam może być i rytownikiem razem. Wynalazek ten wpłynie przeważnie na udoskonalenie i taniość miedziorytów.

* **Najnieprzyzwoitszym tańcem** wchodzącym teraz wmodę jest **polka tremblante**; we Lwowie jakoś niebardzo się przyjmuje. Na publicznych balach choć zapowiadana, albo mało co, albo prawie zupełnie nie była tańczona. Jest to taniec czeskich chłopów, którzy podrygując ku swym holkom z rozmaitemi jeszcze dodatkami, przechodzącymi i jesta kankanowe, tańczą go po karczmach. Dodatki te wprawdzie na salonie odrzucono, ale wyraz tego rozpustnego tańca pozostał ten sam. Nie wątpimy, iż przy wrodzonej naszym Polkom skromności, taniec ten z naszych towarzystw wykluczony będzie.

* **Hydroskopia. Henryk Delaage** wydał świeżo w Paryżu dzieło: *De la vie des ames àprès la mort* (o życiu dusz po śmierci). Autor jest głową mistycznej nauki, która już u Egypcyan znana była. Zwolennicy jego wywołują duchów, i twarze zmarłych osób ukazują się im, czy na ich zaklęcia, w naczyniach wodą napełnionych. Od stolikomanii przechodzą teraz w Paryżu do tego mistyczniejszego jeszcze zajęcia. Nazywają to hydroskopią.

* Opaliński Piotr, Wojewoda Poznański wystawiwszy chorągiew husarską w czasie wojny moskiewskiej, takową sam do Łuc ka przyprowadził; a gdy się go hetman Chodkiewicz zapytał, coby miał za przyczynę tak dalekiej na tę wojnę fatygi, odpowiedział: „Mam żonę, dzieci i fortunę, jednej mi jeszcze rzeczy nie dostaje, chwały z dzieł moich zapracowanej, dla której tu pospieszyłem.“

* Zapowiedziane już dawniej przedstawienie dramatu Stanisława Pilata: „Zofia Morsztynówna,“ nastąpi dnia 17. marca na korzyść pana Nowakowskiego.

Przyjechali dnia 8. 9. i 10. marca do Lwowa:

PP. Czajkowski Izydor, z Jarosławic. Iżewski Marcin, z Choronowa. Majerski Stanisław, z Rakszawy. Obertyński Wacław, z Sawczyna. Papara Stanisław, z Dolnej.

PP. Hr. Borkowski Seweryn, z Szuparek. Gottlieb Tytus, z Dołhomościsk. Hałuszyński Grzegorz, z Brodów. Br. Heydel Stanisław, z Chmielowa. Jabłonowski Józef, z Dołhego. Janiszewski Stanisław, z Jasła. Lang Ignacy, z Wolicy. Mutz Wojciech, z Złoczowa. Romański Antoni, z Łuk. Hr. Starzeński Leopold, z Mogielnicy.

PP. Tretter Hilary, z Dzwiniacza górnego. Zajączkowski Adam, z Biliny.

Wyjechali dnia 8. 9. i 10. marca ze Lwowa:

PP. Hr. Baworowski Włodzimierz, do Gajów. Hr. Drohojowski Józef, do Balic. Potocki Mieczysław, do Zborowa. Terlecki Józef, do Hubina. Hr. Törek do Stryja.

PP. Bartmański Oswald, do Szathmar. Nechay Adolf, do Doliny. Nowacki Kazimierz, do Stryja. Papara Stanisław, do Żółkwi. Hr. Skarbek Jan, do Tarnopola. Książę Józef Windischgrätz, do Krakowa. Żurakowski Jan, do Zadanowa.

PP. Christiani Henryk, do Horbacza. Kabath Maurycy, do Horbacza. Saar Henryk, do Przemyśla.

Lwów 10. marca. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 21 złr. — kr. do 23 złr. 30 kr. — Żyta po 16 złr. 40 kr. do 17 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 8 złr. — kr. do 8 złr. 45 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 10 złr. 48 kr. do — złr. — Sąg drzewa bukowego 26 złr. 30 kr. do — złr. Sosnowego po 23 złr. — kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 15 kr. do złr. 2 kr. 18. Centnar słomy 1 złr. 34 kr. do — złr. — kr. w. w.

Kurs lwowski.

Dnia 11. Marca.	gotówką				towarem.			
Dukat holenderski . . . . ,	złr.	5	kr.	56	złr.	6	kr.	—.
Dukat cesarski	»	6	»	—	»	6	»	3.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	»	26	»	10	»	28.
Rubel srebrny rosyjski	»	1	»	59	»	2	»	—.
Talar pruski	»	1	»	54	»	1	»	56.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	29	»	1	»	30.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . .	»	90	»	45	»	91	»	—.

Kurs telegraficzny z Wiednia. 10 marca o 2 g. popołudniu.

Amszterdam. — Augsburg 130½. Frankfurt 130⅛. Hamburg 97. Liwurno. — Medyolan 127. Genua. — Londyn 13. 46. Marsylia. — Paryż 153¼. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. 35. Srebra agio 30. Pożyczka 5% 86⅜. 4½ 76¾. Pożyczka lit. B. — Akcye banku 1240. Kolej północna 2220. Obl. ind. 5% —.

---

(38)

Zeszyt 2gi **utworów muzycznych i literackich Wnej panny Teodozyi Papara**, którego prenumerata ogłoszoną została r. 1853 Gazetą Lwowską, w cenie 10 złr. mon. kon., zawierać będzie 12 nowych utworów następujących:

Dzieło 13. Grande Polka p. le Piano. Es dur
14. Mazur p. le Piano. Es dur
15. Improvisation p. l' Orchestrion (Phisharmonica). A mol
16. Souvenir d' Amitié (Etude). G mol
17. Potpourri p. la Guitarre. E dur
18. Chant céléste (Etude). D dur
19. Air polonais avec acc. de Guitarre. A mol
20. Mazur p. l' Orchestrion (Phisharmonica). A dur
21. Duetto et deux mélodies p. l' Orchestrion (Melodicon).
22. Polonaise de Concert p. le Piano. B dur
23. Valse p. le Piano. B dur
24. Tableau Musicale (Le sérieux interrompu par la gaieté).

Zeszyt 1wszy utworów muzycznych i literackich który wyszedł w r. 1852, i znajduje się we wszystkich księgarniach Lwowa za cenę 5 Złr. m. k. zawiera 11 utworów następujących:

Dzieło 1. Polka. G dur
2. Mazur. G mol
3. La Prière exaucée. Des dur
4. Etude. Des dur
5. Les Amoureux. D dur
6. Etude chromatique (La Solitude). D mol
7. Air polonais av. accomp. de Piano. B dur
8. Mazur p. le Piano. B dur
9. Marche funèbre. D mol
10. Polonaise. Es dur
11. Valse. G dur

Dzieło 12. Obraz mego życia (Tableau musical), jeszcze do 1go zeszytu nie załączone. Utwor ten w rodzaju większych, nie mógł być we Lwowie wydanym dla wielu przeszkod, z tego powodu dotąd zostaje jeszcze w rękopiśmie.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**